

KREON

Paweł Goźliński

Antygona i TS

Teatr Studio im. Stanisława I. Witkiewicza w Warszawie: *ANTYGONA* Sofoklesa. Przekład: Antoni Libera i Janusz Szpotański. Reżyseria: Zbigniew Brzoza, scenografia: Michaił Czernajew, kostiumy: Dorota Kołodyńska, muzyka: Henryk Gembalski, ruch sceniczny: Tomasz Dajewski. Premiera 4 II 1998. 1997/98

1. Oglądając kolejne warszawskie premiery greckich tragedii, można by sądzić, że renesans zainteresowań dziełami Starożytnych jest efektem wojny w byłej Jugosławii. Po *Elektrze* Krzysztofa Warlikowskiego wystawionej w Teatrze Dramatycznym, na przeciwko, w Studio Zbigniew Brzoza wystawił *Antygonę*. W pierwszym z tych przedstawień chór wystylizowany został, trzeba powiedzieć mocno kiczowato, na bałkańskie żałobnice. Tym razem tebańscy starcy zmienili się w czeredę zdeprawowanych długą, okrutną wojną żołdaków, dla których pokój jest tylko krótkim odpoczynkiem przed kolejnym wybuchem przemocy.

Ale zanim na scenie pojawi się chór, na ekranie ukry-

tym wśród konstrukcji przypominających ruiny wymarłego miasta wyświetlone zostają sceny z wojny na Bałkanach. Ciała pomordowanych, płaczące kobiety, wynędzniałe ofiary etnicznych czystek i obozów koncentracyjnych.

To się nie miało prawa zdarzyć. Zaledwie pół wieku po Oświęcimiu i nieomal udanej próbie zagłady narodów. A jednak w samym sercu Europy znów ginęły tysiące niewinnych ludzi. Morze atramentu wylano z powodu bałkańskiego konfliktu. Publicyści już dawno wyczerpali argumenty, równie wiele objaśniając, co pozostawiając może historykom, może filozofom i teologom do odtajnienia. Nie ma w tym nic dziwnego, że artyści próbują też zagłębić się w ową przestrzeń niezrozumienia. Może nawet bez pretensji, aby cokolwiek rozstrzygać, ale przynajmniej dotknąć raz jeszcze jądra ciemności. Naturalne, że sięgają w takich przypadkach po twórczość antycznych tragików. Bo gdzie indziej w europejskiej literaturze odnaleźć można dramaty, których samą istotą jest zmaganie się człowieka z niemożnością przeniknięcia własnej natury i przeznaczenia. Ale czy aby na pewno dzieła Sofoklesa są dobrym narzędziem docierania do źródeł obłądów naszych czasów?



Maria Peszek (*Antygona*), Jerzy Radziwiłowicz (*Kreon*)

FOT. JAN ROLKE

ZMIANA WARTY?

FOT. JAN ROLKE



Pośród zrewoltowanego tłumu żołdaków zjawia się Kreon. Wygląda jak jeszcze jeden watażka, który za chwilę przemocą wymusi posłuch. Kreon Jerzego Radziwiłowicza za broń ma jednak przede wszystkim słowa. Kiedy mówi, że oto bogowie przywrócili ład w steranym wojną państwie, wie, że to dopiero początek, a nie koniec jego misji. Że oto on musi ustanowić prawo i swoją stanowczością i sprawiedliwością podeprzeć jego chwiejny fundament. Chór jest wprawdzie obojętny. A jednak mocne, kamienne, bo absolutnie jednoznaczne słowa samą swoją mocą zmieniają stopniowo pole bitwy w agorę, a niebezpieczny tłum w społeczność, która wierzy, że oto ich światu przywrócony został ład. Mimo to Kreon zachowuje się tak, jakby wiedział, że stąpa nad przepaścią, że jeden fałszywy gest i upadnie, a ustanowiony przed chwilą porządek zmieni się w chaos nie do opanowania.

To jest prawdziwy prolog przedstawienia Brzozy. Zarazem jego epilog, jeśli uznamy, że wojskowe mundury, w które ubrani są bohaterowie, wyznaczają temat jego *Antygony*. Później ani losy Kreona, ani Antygony w żaden sposób nie będą się odbijać w zachowaniach coraz bardziej zanikającego chóru. Nie da się z owej jednej, jedynej sceny, w której chór zachowuje swoją integralność, a zarazem coś nieporadnie usiłuje „grać”, wyrowadzić jakiejś spójnej interpretacji na temat związków pomiędzy przemocą i prawem. Stwierdzić, że pokój jest stanem chwiejnej równowagi w wiecznej walce ludzkich i nie-ludzkich żywiołów jest tylko powtórzeniem prawdy, która była dla greckich tragików oczywistością. Tym bardziej nie ma w *Antygoni* dróg, które zawiodłyby nas do źródeł etnicznych, narodowościowych czy religijnych konfliktów. Wbrew temu, co napisał jeden z recenzentów, nie da się z *Antygony* zrobić prawdziwie społecznego teatru. Przestrożą powinno być wspomnienie przedstawienia Andrzeja Wajdy jeszcze

w epoce stanu wojennego, który aby zmienić ją w alegorię politycznej sytuacji, musiał mocno się sprzeniewierzyć słowu Sofoklesa.

Brzoza jednak, jak się wydaje, wcale nie miał ochoty na robienie z attyckiej tragedii teatru społecznie zaangażowanego. „Reporterski” prolog miał raczej stworzyć atmosferę bliskości tematyki antycznego tekstu wobec problemów nam najbliższych. Znieść dwuipółtysięcletnią barierę, która oddziela nas od jasnego rozumienia dzieła Sofoklesa. Jest to jednak bliskość pozorna, a efektem uwspółcześniających zabiegów jest głęboka rysa w przedstawieniu, której do końca nie udaje się zatrzeć.

Można by na siłę przypisać

Brzozie intencję stworzenia spektaklu o wierze w sprawczą moc słowa i upokorzeniu owej Kreonowej i Prometejskiej zarazem religii, kiedy przekroczy granice pychy. Tak jak upokorzony zostaje powalony na ziemię chłopiec usiłujący wykrzyczeć pieśń chóru sławiącą człowieka, który jest mocą ponad inne moce. Ale mimo to *Antygona* nie daje wystarczających podstaw, aby taką interpretacją spiąć cały spektakl. To, co u Sofoklesa jest ledwie zarysowaniem tła, podnieść do rangi głównego problemu dramatu się nie da.

Czas tragedii to czas uświęcony, mityczny. Tragiczne opowieści przywoływane są spoza historii nie po to, aby doraźnie tłumaczyć jej ostre zakręty. Mityczni są też ich bohaterowie, którzy powracają jako wzorce losu, a nie uzasadnienia czy usprawiedliwienia dla politycznych wyborów. Sofokles nie pisał o wojnie, ona jest tylko kamiennym tłem dla dziejów duszy, które są istotnym tematem jego tragedii.

2. Kreon nie wierzy w występki Antygony przeciw ustanowionemu przez niego prawu, dopóki sama mu się nie przyzna. Jego dłoń gładzi ją po włosach. Jedna chwila wystarczy jednak, aby los ustawił pomiędzy nimi barierę nie do przekroczenia. Chociaż ich losy pozostają splecione do końca, kolejne uczynki wzajemnie napędzają mechanizmy indywidualnych tragedii, nie są sobie nic winni. Taka jest natura Sofoklesowej Tyche, że używa ludzi jak bezwolnych niemal i bezradnych narzędzi swoich nieprzeniknionych planów. Bohaterowie tragedii dojrzejają do świadomości, jak ich własna wola niewiele znaczy, że są narzędziami losu, że konsekwencje ich czynów obrócić się mogą przeciwko nim. Przede wszystkim jednak dojrzejają do tragicznej wiedzy o sobie samych i o swoim miejscu w świecie, który jest nieustającą grą sił. Kiedy już wyśpiewają swój ból, pogodzeni z nim czy nie pogodzeni, mogą spotkać się

ze swoimi przeciwnikami, którzy w bólu okazują się im najbliżsi. To spotkanie zwykle odbywa się nad zwłokami jednego z nich. Za późno albo za wcześnie, aby sobie przebaczyć.

Trzeba zapomnieć o mundurach, aby dostrzec to, co jest cennego w inscenizacji Zbigniewa Brzozy. I jeszcze o młodej Antygonie Izabeli Szeli, która jest zaledwie szkicem do postaci (nie wiem, jak wypadła w tej samej roli grająca ją na zmianę Maria Peszek).

Przejmująca jest pierwsza scena spektaklu, kiedy dziewczyna wbiega na scenę i przez zaciśnięte gardło usiłuje wydobyć lament. Słowa są bezradne, aby zmieściło się w nich przerażenie, które ma w oczach.

Potem Antygona się boi. Ale nie śmierci, tylko samotności. Kiedy idzie na śmierć-wygnanie mijają ją obojętni przechodnie. Nie stoją po jej stronie. Nie stoją po czyjejkolwiek stronie. Są przezroczystości i obojętni. Gest Antygony, która poświęciła życie w obronie wspólnych, a zarazem boskich praw, staje się wobec ich obojętności nieskończenie pusty. Pozbawiony cienia jakiegokolwiek sensu.

Obolała Eurydyka Gabrieli Kownackiej, niema, która jednym gestem zrywa z szyi sznur czerwonych koralów, to cała, domknięta, przejmująca postać. Kilka gwałtownych gestów i gonitwa słów nie zastąpią długiego dojrzenia Antygony do tragicznego losu (bo bardzo niefortunne jest mówienie, że Antygona u Sofoklesa jest kamienna, nie zmienia się od pierwszego do ostatniego słowa).

Spór o to, kto jest głównym bohaterem *Antygony* Sofoklesa, trwa od początku jej nowożytnych dziejów. Zaangażowali się w niego raczej filozofowie, z Heglem na czele niż filologowie. Bo ci drudzy wiedzieli dobrze, że nie w tym rzecz, aby dowodzić, czy bardziej tragiczna jest Antygona, czy może Kreon. A tym bardziej, i broń Boże, nie szukali odpowiedzi na pytanie, po czyjej stronie jest racja. Konflikt Antygony z Kreonem, owszem, jest sporem racji, ale nie da się tragiczności w Sofoklesowym arcydziele do owego sporu sprowadzić.

Chcąc nie chcąc, głównym bohaterem przedstawienia w Studio staje się Kreon. Bardzo szybko spektakl zmienia się, przerywany co chwilę i zupełnie niepotrzebnie, w monolog Jerzego Radziwiłowicza. Właściwie pozostawiony na scenie sam sobie aktor może coraz to głębiej wchodzić pod skórę swojego bohatera. Trudno jest opisać jego grę. Jest ona bowiem idealnym przystawieniem do Sofoklesowego tekstu. Sekwencją najjaśniejszych odpowiedzi na jego zwroty. Radziwiłowicz rozumie Kreona doskonale, każde zachwianie jego duszy zostaje odbite w twarzy, w rozchwianiu głosu. Pokora wo-



FOT. JAN ROLKE

bec prawa zmienia się powoli w pychę prawodawcy, który swoje słowo stawia ponad boską wolę. Potem pulsuje i narasta gniew coraz bardziej zdeterminowanego władcy, któremu krnąbrna dziewczyna za chwilę zburzy z trudem odbudowany ład państwa. Rośnie do krzyku, zamierającego dopiero w tragicznym rozpoznaniu, które bogowie zsyłają za pośrednictwem Terezjasza. Twarz aktora zmienia się na długą chwilę. Prawdziwa maska ze sceny teatru Dionizosa. Usta i oczy zamierają w jej tradycyjnych kształtach. Jeszcze ten skamieniały ból jak powidok tkwi pod powiekami, kiedy zaczyna się lament Kreona. Jak pieśń, która nie może znaleźć melodii. Wyciszona, bo bólu ojca, który zrządzeniem losu jest sprawcą śmierci wszystkich swoich najbliższych, nie sposób wykrzyczeć. Same słowa Kreona. Są one – jak by powiedział Zygmunt Kubiak – milczącą formą i zarazem najdoskonalszą formą milczenia.

3. A może trzeba się pogodzić, że greckie tragedie po prostu nie są z naszego świata. Że oprócz lamentów oniemiałych dusz, poezji najgłębszej, ale doskonale czystej, nie ma nam nic do zaoferowania. Należy pozwolić jej po prostu wybrzmieć, bo w żaden inny sposób nie przybliżymy jej do naszych wynędzniałych serc. To pewnie propozycja nie do przyjęcia, bo zakładająca absolutną pokorę i podporządkowanie się słowu, które od kiedy opuściło rodzinne Ateny, posłuch zyskiwało u nielicznych.

Nie wiem, po co wystawiono *Antygonę*, a właściwie *Kreona* w Studio. Czy po to, żeby reanimować Sofoklesa, czy może dowieść, jak trudna jest konfrontacja jego poezji z wrażliwością współczesnych widzów. Wydaje się być dzieckiem jakiegoś kompromisu. To największy grzech tego przedstawienia.